

665

Jubileusz Niny Andrycz

Pięćdziesiąt pięć lat na scenie Teatru Polskiego

— Jest Pani ostatnią z plejady wielkich aktorek dramatycznych, które wykreowała Polska przedwojenna. Nina Andrycz, Elżbieta Barszczewska, Irena Eichlerówna stały się bowiem sławne przed 1939 rokiem. Po wojnie kontynuowała Pani swoją karierę, rozwijając się, zmieniając, wzbogacając galerię scenicznych postaci, głównie tych królewskich w słowie i geście, i to wciąż od pięćdziesięciu pięciu lat w tym samym Teatrze Polskim. Kiedy jubileusz?

— Oficjalnych jubileuszów tak bardzo nie lubię, że nie obchodziłam ich nigdy. Ani w czasach spokojniejszych, ani tym bardziej dziś, gdy teatr walczy o byt, a ludzi drażni niepewność jutra. Ale dla siebie samej, dla grona przyjaciół oczywiście nie mogę nie odnotować, że właśnie tej jesieni mija pięćdziesiąt pięć lat mojej bezwzględnej wierności Teatrowi Polskiemu. Myślę, że to przypadek bezprecedensowy.

— Czym jest dla Pani aktorstwo i teatr?

— Pracą kochaną, poprzez którą mogę się wypowiadać najszybciej i w sposób najbardziej bezpośredni. Mogę podtrzymać kontakty z ludźmi, dla których gram, a w ostatnich czasach nawiązać nowe. Aktorstwo bardzo mnie dyscyplinuje, lecz od zniechęcenia, od melancholii i czarnowidztwa.

— Przecież ma Pani na swoim koncie tyle sukcesów, skąd zatem czarnowidztwo?

— Codziennosc, a także pogarszająca się wyraźnie sytuacja teatru w Polsce skłaniają do takich refleksji.

— Wobec tego wróćmy do początków. Jak Pani wspomina swój debiut?

— Ze wzruszeniem. Mając dwadzieścia lat (bo nasza szkoła trwała trzy lata) mogłam wystąpić na sławnej wówczas scenie Teatru Polskiego w dramaturgii Szekspira tj. w „Królu Learze”, w dużej i trudnej roli królowej Regany. Reżyserował sam Leon Schiller, a Leara, mojego ojca grał wielki Józef Węgrzyn.

— Ten debiut był chyba proroczy, gdyż później najczęściej grwała Pani właśnie królowe?

— Wtedy po raz pierwszy włożyło mi na głowę królewską koronę, wg pięknego projektu Ireny Loreniewicz, i tak się zaczęło.

— A kiedy była Solange z „Lata w Nohant” Iwaszkiewicza, która ugruntowała Pani sławę?

— Zagrałam ją na dwa lata przed wybuchem wojny. Reżyserował Edmund Wierciński, a ja miałam wtedy zaszczyt partnerować pamiętnej Marii Przybylko-Potockiej jako George Sand. Wprawdzie Solange nie była królową, lecz zawsze baronówną, a akcja toczyła się w pałacyku. Potem znowu nosiłam diadem Lukrecji Borgii w „Cezarze i człowieku” Nowaczyńskiego i pamiętam, że moje wspaniałe renesansowe stroje były kopiowane w wielu teatrach.



Fot. — Z. Nasierowska

— Która z tych licznych „królewskich” ról przyniosła Pani najwięcej satysfakcji?

— Chyba jednak „Maria Stuart” Słowackiego, z którą jeździłam na występy gościnne.

— Po serii postaci królewskich zapragnęła Pani chyba odnieść i zaryzykowała rolę w „Pożądaniu w cieniu więzów” O’Neilla, osiągając sukces w nowym dla siebie wcieleniu...

— Metamorfozą jednak naprawdę decydującą o całej dalszej karierze była rola czupiradła w papilotach, czyli Pani Dulskiej. Grałam ją łącznie z występami gościnnymi ponad 200 razy! No i od tej pory przestałam się bać ról charakterystycznych.

— Co wpłynęło dodatkowo na Pani artystyczną ewolucję?

— Wszelkie odmiany wykonywanej pracy, np. granie w teatrze małych form („Gwiazda” w Starej Prochowni), wieczory autorskie z ekskluzywną i wyrobioną publicznością, no i granie w Teatrze TV, wymagające ukameralnienia środków wyrazu.

— W czym Panią zobaczy publiczność w najbliższym czasie?

— Myślę, że zagram „Wizytę starszej Pani” Dürrenmatta, o której parokrotnie rozmawialiśmy z dyrektorem Dejmkiem. Sądzę, że z wieku i urzędu ta rola mi się należy.

— O wieku można nie mówić, bo kto widział Panią w „Tangu” Mrożka, żadnym metrykom nie da wiary.

„Słowo Powszechne” korzystając zaś z owego „cichego” jubileuszu i dnia urodzin przypadającego na historyczną dla wszystkich Polaków datę 11 listopada życzy Pani wielu wspaniałych ról i znakomitego samopoczucia.

Dziękuję za rozmowę.

RENATA
POPKOWICZ-TAJCHERT